



# WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.

W chacie góralskiej.



*E. Wierzyński i Ska*

Jasne światełko skacze wesoło,  
Ciągłe ucieka po izbie w koło,  
Raduj się młodzi, goń za nim, goń!  
Wiek twój niewinnej szuka zabawy,  
Więc na bok troski, na bok obawy,  
Niechaj radością jaśnieje skroń.

A gdy nadejdą już inne czasy  
I pójdziesz w twarde z życiem zapasy,  
Za światłem prawdy wciąż, dziatwo, bież!  
Ach! bo i w życiu spotkać nie trudno,  
Światło, co wabi barwą uludną,  
Takiego światła strzeż się, o strzeż!

*Marya Ł puzanińska.*

Konkursu na wypracowania i roboty ręczne p. str. 207 i 208.



## Pogadanki z dziedziny chemii.

### I. O sile chemicznej.

**K**ażdemu wiadomo, iż żelazo, pozostawione na wilgotnym powietrzu rdzą się pokrywa; w końcu zamiast białego metalu tworzy się czerwona, blaszkowata substancja, żelazo zaś znika zupełnie.

Pytanie, co się stało z żelazem?

— Zardzewiało, odpowiecie.

Odpowiedź taka jednakże nie będzie wytłomaczeniem zjawiska:

Nauka wyjaśnia rdzewienie żelaza inaczej, mianowicie powiada, że działają na żelazo siły chemiczne, które je zmieniają w taki sposób.

Zważmy przedewszystkiem żelazo, zamienione w rdzę. Przekonamy się, iż rdza nietylko, że nie waży mniej, ale nawet więcej, aniżeli metal, z którego powstała, dowodzi to, że do żelaza coś przybyło.

Czemże jest ta materya, która zwiększyła ciężar zardzewiałego żelaza.

Na zasadzie bardzo ścisłych i sumiennych badań uczeni doszli do wniosku, że z żelazem połączył się tlen zawarty w powietrzu, i że wskutek tego połączenia metal zamienił się na czerwony proszek, zwany pospolicie rdzą. Gdybyśmy byli posmarowali metal łożem, aby go zabezpieczyć od zetknięcia z powietrzem, to nie przeobraziłby się on w rdzę.

Czyżby jednak nie można wypędzić w jakiś sposób tlen z żelaza i nadać mu pierwotne własności?

Zadanie to nie jest bynajmniej trudne: w przemyśle wykonywają go na dużą skalę w tak nazwanych wielkich piecach służących do wytapiania żelaza. Należy bowiem wiedzieć, iż żelazo nie znajduje się w przyrodzie w stanie czystym, lecz dobywają go z kopalni w postaci kamienistej rdzy, zwanej ogólnie rudą żelazną. Taka rdza kamienista pomieszana z węglem idzie do pieca. W silnym gorącu tlen ucieka od żelaza, a natomiast łączy się z węglem i tworzy z nim gaz, ulatujący przez komin. Żelazo zaś topnieje i zbiera się na dnie pieca, jako surowiec.

W piecu takim odbieramy przeto rdzy tlen, ażeby otrzymać z niej metal.

Siłę, przyciągającą węgiel do tlenu, albo też tlen do żelaza nazywamy siłą powinowactwa chemicznego; wyrazu powinowactwo nie należy jednak brać w jego pospolitem znaczeniu, gdyż dzieje się właśnie przeciwnie z tego rodzaju siłą przyciągającą, ciała bowiem zbliżone do siebie pod względem chemicznym nie mają do siebie stałego pociągu; ciała zaś wcale z sobą nie spokrewnione, przyciągają się pomiędzy sobą najsilniej. Wolimy przeto wyraz: powinowactwo, tak często napotykanym w chemii, zastąpić w niniejszych pogadankach prawie równoznacznym wyrażeniem: „chemiczna skłonność.” W gruncie rzeczy nie idzie tyle o wyrazy, ile o zrozumienie istoty rzeczy; tutaj najważniejszą jest siła przyciągająca pomiędzy żelazem i tlenem, która sprawia, że w silnym gorącu tlen opuszcza żelazo i łączy się z węglem.

Wł. U.

Zofia Kowerska.

## W SUCHOWSKIM DWORZE.

(Dalszy ciąg.)

**G**óż tam, Michale, z zębami? — zapytał pan Zabrzęski, gdy już koła po bruku miejskim turkotać przestały. — Widzę, że masz kwaśną minę!

O, bo jaśnie pan... żebyś był wiedział.. ale to człowiekowi pierwszyna... z takimi tam doktorami się zadawać.

— No co, nie poradził i zęby wciąż bolą?

— Nie to, ale mało robi a dużo bierze! To nie jest chrześcijańska rzecz!

Tu Michał puścił cugle koniom, bo droga była równa, obrócił się ku panu Zabrzęskiemu i zaperzony rzekł z najwyższym oburzeniem:

— Już ja nieraz zęby rwałem! Jeden to był, jak taki dębowy pień, co jeszcze w ziemi nie ognił. Kował w Suchowie nie mógł mu dać rady. Pewno z pół godziny wodził mię po kuźni. A bolało mię!... Byłbym rzemienie nadrobną sieczkę gryzł z bólu! Myślałem, że mi szczęki połamię... Sam się aż spocił, no, i za wszystko wziął 10 kopiejek! A tu ten doktor od zębów czemś tam dziąsło posmarował, a ja nie miałem jeszcze czasu westchnąć do św. Tekli, jak już zęba bolącego nie miałem w gębie. Nie narzekał się i mnie bólu nie narobił, a kazał sobie zapłacić całego rubla! Zawsze to lepsze wiejskie ludzkie jak miastowe! I jeszcze się po mnie mył, jak żeby był zdjął skórę z takiego bydłęcia, co na karbunkuł padło.

### XIV.

Przez cały październik Zdzis nie mustrował swoich żołnierzy. Józiovi za to, jego ulubiona praca szła doskonale. Jesień pogodna trwała ciągle i w nagromadzonych żołądźkach i kasztanach, byleby je umiejętnie rozsadzić, leżało nasienie ogromnego lasu. Józio obiecywał sobie, że chociażby go obowiązki jego powołania jaknajdalej zapełdziły i chociażby rodzina jego nie mieszkała w Suchowie, on raz na rok przyjeżdżać będzie do lasu, zasadzonego przez siebie.

Pana Zabrzęskiego znowu w domu nie było. Pojechał do Warszawy, skąd po paru tygodniach wrócił tylko na kilka godzin, żeby pożegnać rodzinę; interesa bowiem wzywały go aż do Ameryki. Ten wyjazd męża na drugą półkulę, powiększył jeszcze zwykły niepokój i troskę pani Zabrzęskiej. Przy pożegnaniu zabawna odegrała się scena. Wszyscy, oprócz pana Chlewiatki, zgromadzeni byli w przedpokoju; zaprzężone konie stały przed gankiem, a zacy profesor, chociaż wiedział o chwili wyjazdu pana domu, zapomniał o niej przy niezmiernie wdzięcznym ustępie Odyssei, który właśnie polskiemu językowi przyswajał. Pan Zabrzęski posłał służącego z prośbą, by pan Chlewiatko przyjść zechciał. Wchodzącego profesora przyjął słowami:

— Byłbym sam poszedł pożegnać pana, gdyby nie to, że ani minuty nie chcę odjąć rodzinie, która mię tu otacza. I panna Four była tak dobra, że przyszła. Mam jeszcze trzy minuty czasu, które wolę spędzić w tym przedpokoju, niż na stacyi, czekając na pociąg.

Pan Chlewiatko uśmiechnął się uprzejmie, jak człowiek, który chce być grzecznym, choć myśli zupełnie o czem innym, niż otaczający; pozwolił panu Zabrzęskiemu pożegnać się z sobą, potem nagle pocałował w rękę panią Zabrzęską, pannie Four powiedział „*adieu mademoiselle,*” śpiesznie ucałował dzieci jedno po drugim, włożył na siebie palto pana Zabrzęskiego, jego czapkę i wyszedłszy na ganek, rzekł do furmana uprzejmie:



— Jedźmy, Michale.

Za panem Chlewiatką rozległ się chór śmiechu, którego on nie słyszał, poczuł jednak, że go ktoś bierze za ramię i w zapędzie zatrzymuje. Głos pana Zabrzskiego zapytał:

— Gdzie profesor chce jechać?

Pan Chlewiatko sam się uśmieł serdecznie ze swojego roztargnienia, a wszyscy otaczający uradowani byli tem, że pani Zabrzaska o łzach zapomniała dla serdecznego śmiechu, z zabawnej miny profesora, gdy w paltocie i czapce pana Zabrzskiego schodził najpoważniej ze schodów. Mąż jej był już za bramą, a ona jeszcze się śmiała.

— Trzeba mi darować — rzekł profesor — bo czy nie może odebrać przytomności umysłu ten ustęp Odyssei, który tak przetłomaczyłem:

„Snać chód mężów, psów hałas zwierz posłyszał zbliżka  
Bo z gęstych chaszerów naraz porwał się, wyskoczył,  
Szerść najeżył, ślepiami iskrzącymi toczył,  
I tak wyszedł na łowców. Odys był na przodzie,  
Więc pewny, że oszczepem wskroś dzika przebodzie,  
Posunął się na niego. Dzik zwinniej się sprawił  
I goleń zwyż kolana srodze mu zakrwawił  
Krzywym kłem, który mięsa wydarł z niej kawałek,  
Lecz kości nie naruszył; alić Odys śmiałek  
Tak odyńca w łopatkę prawą pchnął dziirytem,  
Że grot przeszedł na wylot — dzik runął ze zgrzytem  
O ziemię. Dech wyzionął...”

— Nie umiem po grecku — rzekła pani Zabrzaska — ale po polsku ten ustęp brzmi ślicznie. Pan go z pewnością doskonale przetłomaczył!

— Biedny dzik! — zawołała Alusia.

— Mnie daleko więcej żal goleni Odysseya, niż całego dzika — ozwał się Zdzis. — Szkoda, że nie żyłem w tamtych czasach! To były czasy bohaterskie! Chciałbym być żyć w czasach greckich, ale mówić po polsku, bo ten język grecki jest taki trudny, taki nieznośny i tak go nienawidzę...

— Zdzisiu! — zawołała Alusia z wymówką.

— No, cóżes taka oburzona?

— Bo o umarłych nie można odzywać się źle, a przecie wszyscy mówią, że język grecki jest umarły!

## XV.

Tego samego dnia zjawiała się wreszcie cyganka Aza. Była wychudzona, zmizerowana, zczerniała, a wielka jej piękność przygasła. Jej posągowe rysy utraciły świeżość i wdzięk zdrowia. Patrzała podejrzliwie w koło siebie i zebrała natarczywie, wyczekując przypadkowego zjawienia się pana Chlewiatki, bała się bowiem prosić o widzenie się z nim, by ta prośba nie doszła do cyganów i nie obudziła na nowo uśpionych podejrzeń. Dostawszy wsparcie, wślizgnęła się do ogrodu i ukryła w zaroślach. Los okazał się dla niej przychylnym, gdyż pan Chlewiatko wyszedł o szarej godzinie na spacer, by nieco ochłodzić głowę po pracy. Całe popołudnie nie wstawał od stolika, gdyż panna Four chodziła dnia tego z dziećmi na przechadzkę.

— A, to pan! — rzekła szeptem cyganka, przysuwając się niespodzianie do profesora — czekam tu już oddawna i myślałam, że mi przyjdzie nocować w ogrodzie.

— Czemuś mi nie dała znać? Twoje pieniądze leżą przygotowane i zaraz pójdę je przynieść.

— O, to nieszczęśliwe pieniądze! — mówiła cyganka nawpół z płaczem. — Zły duch mię skusił, żem swoich braci rodzonych zdradziła! O mało życia sama nie straciłam i ich pozbawiłam zarobku! Byłam przed sądem, byłam trzymana w więzieniu o chlebie i wodzie. Myślałam, że mię zabiją, ale się potem moim braciom rodzonym poszczęściło, znaleźli sobie inny skarb i mnie puścili. Ale mię pilnują, mają mię wciąż na oku i wiem, że gdy teraz wrócę

do nich, będą szukali we wszystkich moich chustach, we wszystkich obrąbkach.

Ukazała ręką spódnicę podartą i tak postrzępioną, że obrąbek z niej z pewnością oddawna został kawałkami na krzakach leśnych.

— Poczekaj-że tu, zaraz przyniosę pieniądze.

— Nie, nie. Ja tylko przyszłam prosić, żeby pan te czterdzieści rubli miał u siebie, a ja za rok, może za dwa po nie przyjdę.

— Jak chcesz. Ale pamiętaj, że ja nikomu o tych pieniądzech nie powiem i jeżeli przez ten czas umrę...

— Nikomu, mój panie kochany, nikomu. Pan nie umrze, cyganki wszystko wiedzą, pan nie umrze!

— Cyganki nic nie wiedzą, tylko oszukują!

— Prawda, panie kochany, prawda, cyganki nic nie wiedzą, tylko byle co gadają, a ludzie głupi słuchają i płacą. Ale cyganie muszą z czegoś żyć...

— Czemu nie pracują?

— Pracować? Cyganie nigdy nie pracowali i nigdy pracować nie będą! Niech pan sarnę do pługa zaprzęże i każe jej orać! Ona ma siłę przez parkan przeskoczyć czego wół nie potrafi, ale nie ma siły ciągnąć ciężarów... za rok, panie kochany, może za dwa!

Zniknęła za krzakami, gdyż ukazał się lokaj szukający pana Chlewiatki, aby go wezwać na podwieczorek.

Profesor zamyślił się nad losem cyganów, nad ich niedolnością do pracy nad tem, że muszą oni być ciężarem dla kraju, w którym przebywają i wśród tych myśli oddał na ganku paltot lokajowi, który, że ów paltot był trochę zabłocony, zaniósł go do kredensu. Następnie pan Chlewiatko z ganku poszedł do przedpokoju, gdzie zdjął śpiesznie surdut i powiesił go na wieszadle. Nie zdjawszy natomiast zabłoconych kaloszy, wszedł do jadalnego pokoju, gdzie cała rodzina zebrana już była. Za każdym stąpieniem zostawiał ślad mokry na podłodze, był w stroju w którym nie zwykł był pokazywać się damom, ale nic nie wiedział o tem i twarz jego nosząca zwykle wyraz słodczy, rozum i zamyslenia była w tej chwili zupełnie spokojną.

Dzieci przyjęły go wybuchem śmiechu, panna Four okrzykiem zgrozy. Zerwała się od stołu cała zaczerwieniona.

— Takie rzeczy mogą się dziać tylko w kraju, do którego cywilizacja nie zajrzała jeszcze. Chez nous à Paris, takiego człowieka policya wzięłaby pod swoje oko i gdyby nie pomogły ostrzeżenia...

Biedny profesor poczuł, że na jego głowę spadały zasłużone gromy. Wrócił śpiesznie do przedpokoju, uzupełnił toaletę swoją, zdjął ze wstydem zabłocone kalosze i pełen skruchy stanął na nowo przed obliczem panny Four. Tłomaczył się pokornie, że nie uważał, iż na ganku zdjęto z niego paltot i sądził, że dopiero on sam paltot ten powiesił w przedpokoju. Co do kaloszy, był winien i nie było dla niego żadnego tłumaczenia. Gotów był przeproszać i dać wszelkie zadosyćuczynienia, jakichby od niego wymagano.

Panna Four była wszakże nieubłagana i wydała się panu Chlewiatce jakąś obrażoną boginią greckiego Olimpu, która w gniewie straszną zemstę poprzysiędz była gotowa. Akcent profesora rozdrażniał ją coraz bardziej, wreszcie zawołała z rozpaczą:

— Tłumaczenie się pana, jest gorsze jeszcze niż niedarowany postępek!

— Dla czego? — zapytał poważnie profesor — uznanie swej winy jest przecie...

— Nie chodzi tu o uznanie winy, ale o sposób w jaki ją pan uznaje... o ten akcent, który rani we mnie nietylko słuch, ale zmysł artystyczny i szarpie poprostu moje nerwy na strzępy...

Pocziwy profesor rzekł po polsku, biorąc obecnych na świadków swego żalu:

— Przeprosiłbym ją na migi, ale tej mowy nie umiem. Biedna kobieta, przebywanie wśród obcych, których języka



nie rozumie, doprowadza w istocie jej nerwy do stanu wprost chorobliwego!

Spojrzał błagalnie na pannę Four, a we wzroku jego oprócz błagania, było jeszcze współczucie, które Francuska odczuła. Podała nagle rękę profesorowi i rzekła:

— Ma pan szkaradny akcent francuski, ale jest pan nie tylko wielkim uczonym, ale też bardzo dobrym człowiekiem! Chciałabym zasłużyć na przyjaźń pana.

Pan Chlewiatko pocałował jej rękę w milczeniu, nie chcąc już francuszczyzną swoją zepsuć jej dobrego usposobienia. Wbrew zwyczajowi sprzeczką ich zakończyła się zgoda.

(d. c. n.)

## AUTOR „SOBÓTKI.“

Sto lat upłynęło w listopadzie roku zeszłego od czasu, gdy przyszedł na świat jeden z naszych znakomitych poetów, człowiek wielkiego talentu i nieskazitelnego charakteru, twórca krwawego poematu „Zamek Kaniowski,” prześlicznej „Sobótki,” wspaniałej fantazyi „Król zamczyska,” „Anny z Nadbrzeża” „Pamiętników” i wielu innych.

Goszczyński urodził się dnia 4 listopada 1801 roku w miasteczku Ilińcach, należącym do dóbr Sławuckich, gdzie ojciec jego rodem z Mazowsza, przywędrował za chlebem, ożenił się i zajmował skromną posesję gorzelanego.

Dziecko, zrodzone i chowane w ubogim domu, miało jednak duszę marzyciela i poety. Przemawiała do niego natura, miał gorące serce, ale charakter gwałtowny i zacięty. Usposobienie to odbiło się w jego utworach.

Do szkół chodził w Winnicy i Humanu, tam spotkał się z Bohdanem Zaleskim i zawiązała się pomiędzy dwoma młodymi poetami przyjaźń, trwająca długie lata. Obadwaj opiewali Ukrainę. Zaleski jej stronę śpiewną, mięką, rozmarzoną, gdy do wyobraźni Goszczyńskiego bardziej przemawiały jej okropne wspomnienia.

Mając lat 19, przyjechał do Warszawy z zamiarem wstąpienia do uniwersytetu i wówczas poznał się z młodymi przywódcami przygotowującego się romantycznego ruchu, do którego skłaniało go usposobienie umysłu. Michał Grabowski i Maurycy Mochnacki stali na czele tego ruchu. Zachęceni przez nich wydał w r. 1828 poemat „Zamek Kaniowski,” który wstrząsnął głęboko całym społeczeństwem, wywołał namiętne spory, zachwyty, potępienia, szyderstwa, jak to widać z następującego wierszyka:

A mistyczny pan Mochnacki,  
Dowiedzie w stylu mistrzowskim,  
Że przy tym Zamku Kaniowskim,  
Trembecki pójdzie pod placki.

A nie wiedział Satyryk, jaką prawdę napisał, gdyż o Trembeckim zapomniano oddawna i prawie go nie czy-

tają; istnieje on tylko w historii literatury jako poeta wybornego języka, w którym nie wypowiedział żadnej jasnej, podniosłej myśli. Marny pochlebca, mający bardzo niski charakter, nie zasłużył na nic innego. Tymczasem Zamek Kaniowski i inne utwory Goszczyńskiego zajmują po dzień daleko bardziej wybitne stanowisko. Zrazu zbyt może lubował się w krwawych scenach, któremi przeładował swój pierwszy poemat, prędko jednak pozbył się tego.

Miał on ogromne poczucie natury i zrećnię rzucał na jej tło różne podania ludowe, prześlicznie obrobione, dowiódł tego w swojej Sobótkie. Sobótką jest to urywek z niewydanej powieści „Kościelisko,” a któż nie słyszał o tej pięknej, tatrzańskiej dolinie, położonej blisko Zakopanego, dającej początek Dunajcowi?

Nazwa doliny według legend góralskich pochodzi od kości tatarskich, którzy w tem miejscu za czasów królowej Kingi (św. Kunegundy, żony Bolesława Wstydlwego) polegli pod *ciupagami* (siekierami) dzielnych górali.

Samą dolinę tak opisuje poeta:

Rozkoszna, jedyna,  
Pochmurna dolina,  
Dla całych Tatrów ponęta,  
Lecz lasy i skały  
W krąg ją opasały,  
I bramą z głazów zamknięta.

\*

Rozkoszna jedyna,  
Pochmurna dolina,  
Od całych Tatrów kochana.  
Lecz na niej mgły gęste,  
I deszcze w niej częste,  
Dolina często splakana.

W roku 1831 Goszczyński wyjechał do Galicyi i tam lat kilka przebywał. Zwiedzał Tatry wówczas, kiedy nikomu na myśl nie przychodziło poznać własne wspaniałe góry, a daleko więcej wiedzieliśmy o Alpach, Apeninach, nawet o szkockich górach, niżeli o tych swoich, prześlicznych miejscowościach,

które dziś powracają nam zdrowie i stanowią najrozkośniejsze letnie wycieczki. A jednak poeta nasz zostawił cenny ich opis w swoim „Dzienniku podróży do Tatrów,” a nie poprzestając na tem, dał bardzo zajmujący obraz zwyczajów, stroju, podań górali.

Ale cóż, myśmy wtedy tego nie czytali, a marzyliśmy tylko o cudach Francyi, Szkocyi i t. p., o których opowiadały nam od pierwszego dzieciństwa bony i nauczycielki cudzoziemki.

Na szczęście dla naszej literatury ani Goszczyński, ani Mickiewicz, ani Bohdan Zaleski, ani żaden rdzennie polski poeta takich bon nie mieli, chowali się oni na łonie wsi polskiej, przestawali z ludem od dzieciństwa i dla tego rozumieli go i mawiali z najwyższą miłością o tej naszej przyrodzie, której cały wdzięk odczuwali.

„Król Zamczyska” jest to samotnik błakający się po zwaliskach zamku Odrzykońskiego. Wypowiada on swoje marzenia, w których poznać można własne kierunki autora.



Seweryn Goszczyński.  
w młodym wieku.

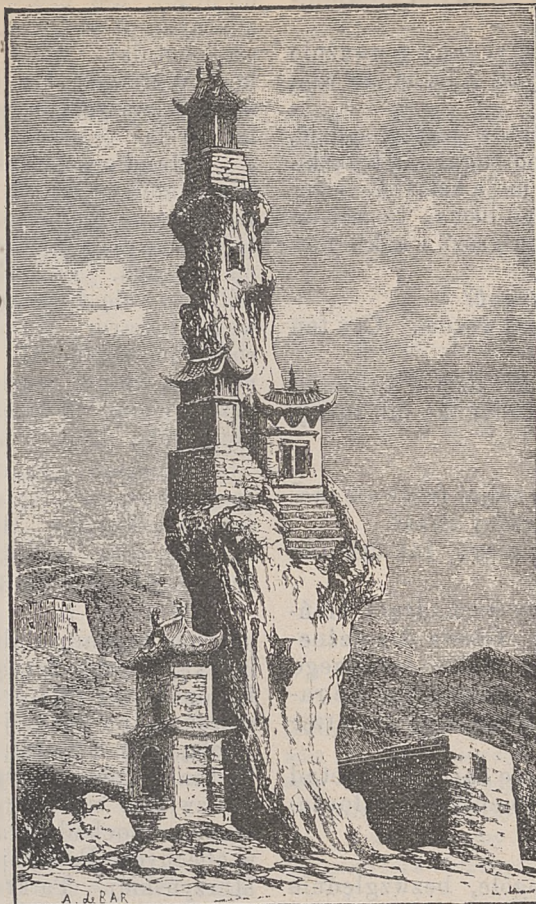


W r. 1838 Goszczyński opuścił Galicyę i przeniósł się do Francji. Czas jakiś mieszkał w Strasburgu, potem przeniósł się do Paryża. Tam poznał się ze wszystkimi znakomitymi Polakami. Ostatniem jego dziełem była książka o poświęceniu, pełna najwznioślejszych uczuć i myśli. Nie były to u niego puste dźwięki ani frazesy, bo stwierdzał je całym swym życiem. Był to jeden z tych rzadkich ludzi, u których zasady i czyny są ściśle złączone.

Słowacki cenił go bardzo wysoko, a po śmierci wszystkie jego papiery złożone zostały u Goszczyńskiego, który godnym był przechowywać spuściznę wielkiego poety.

Umarł we Lwowie r. 1871. Można o nim powiedzieć, że stanowił rzadki przykład człowieka, który szedł prosto wytkniętą drogą, nigdy nie myślał o sobie, a zawsze i jedynie o dobru ogółu. Tę szlachetną postać trzeba zapamiętać według zasługi.

Walerja Marrené Morzkowska.



Cztery świątynie w pniu jednego drzewa.

## Stefek Luty w Brazylii.

przez Z. Bukowiecką.

(Dalszy ciąg).

**N**y mieszkańcy północy nie mamy pojęcia jak gwałtowną bywa burza w krajach podzwrotnikowych. Kryje się przed rozhukanymi żywiołami nawet zwierzę dziki, biada człowiekowi, którego nawałnica zaskoczy wśród pola. Wiedział o tem Stefan, przestał też śledzić za uciekającą Indyanką, a choć ukrył starannie jej list w kieszeni swej płóciennej bluzy, skoczył czempredzej do drzewa przy którym uwiązał konia. Wierzchowiec targał cugle, on także przeczuwał burzę.

— Uciekać, zdawało się mówić rozumne zwierzę, uciekać zanim rozedrą się chmury, zanim wyrzucą z siebie rzeki rozhukanych wód. Uciekli też pan i koń, pędząc co sił w stronę fazendy mulata Geralda.

Ale mimo obawy przed burzą, mimo radości, której doznawał Stefan, pędząc jak farys po stepie, niepokoiła go ciągle myśl o tajemniczym liście.

— Kto więc byli ci Indianie, których lekceważył dotąd? Miełby i oni mieć swój świat pojęć, uczuć, wrażeń? Uratował dziś młodą dziewczynę od śmiertelnych uścisków węża, ale nie dbał o nią więcej niż o sarnę, której także groziło niebezpieczeństwo. Miałoby czerwonoskórne dziecko umieć kreslić na liściu znaki. Nie rozumiał znaczenia hieroglifów ale odróżniał i poznawał pojedyncze części rysunku.

— Mulat wytłomaczy mi może jego treść — myślał i jechał dalej brzegiem strumienia.

Był to dopływ rzeki Itajachy, dopływ bardzo znaczny, zwłaszcza gdy ulewa podniosła jego wody. Krążyły po nich wtedy łódki Indian, umiających zręcznie wymijać niebezpieczne spadki tak częste na rzekach brazylijskich. Ale dziś ulewa nie zasiła jeszcze strumienia, płynął spokojnie, znacząc drogę jeźdźcowi, który kierował się wedle jego biegu. Wiedział, że leśna rzeczulka przepływa obok domu Geralda.

Mulat stał na progu i patrzył w głąb stepu. Jego także niepokoiła burza, bo piorun mógłby rozproszyć stada owiec i wołów, a spłoszone bydło trudno potem sprowadzić do gromady. Ale Gerald znał swoje równiny jak Zakopiański góral zna swoje wirchy.

Nie straszą go te, które teraz zaciemniły horyzont, bo niosą burzę na wschód ku oceanowi.

Uspokojony Brazylijczyk wracał już do domu, kiedy usłyszał tentent konia i dojrzał białego gościa.

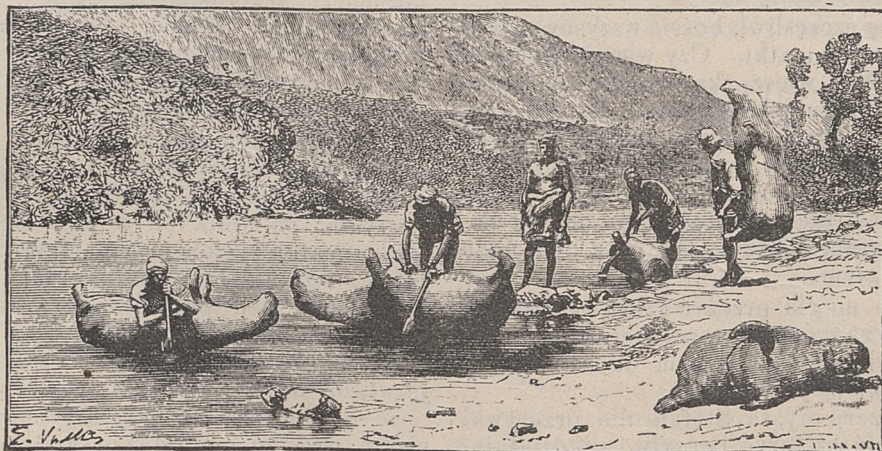
Gość, zwłaszcza biały gość, to rzadkie zjawisko na stepie. Mulat powitał Stefana i wprowadził go w głąb domu. Ten dom, w pół do szałas Indyanina podobny, w pół portugalskie fazendy przypominający, zawieszony był hamakami z botokudskich plecionek. Prócz kilku stołów nie miał zgoła żadnych sprzętów. Skóry wyciągnięte na ziemi zastępowały gospodarzowi łóżko, ale nad posłaniem wisiała w ozdobnych ramach fotografia bardzo pięknej kobiety.

Gerald postawił na stole butelkę kaszasu i placki z mandiokowej maki.

— Miałem dziś dziwne zdarzenie, — powiedział Stefan orzeźwiony przekąską — może pan, jako znający miejscowość wytłomaczy mi je potrafi. Usnąłem w lesie, a oto co znalazłem po obudzeniu.

Wyjął liść, i pokazując go Geraldowi, dodał z uśmiechem.

— Jest tu jakiś rysunek, który ludzka wykonać musiała ręka. Sądziłem do tego, że w tej części



Łodzie ze skór zwierzęcych. (str. 207).



puszczy mieszka prócz nas tylko pan ze swymi niewolnikami.

Gerald wziął w rękę liść, przypatrzył mu się uważnie i nagle spochmurniał, jak gdyby wyczytał z liścia złą wiadomość.

— Cóż to znaczą te hieroglify? Gotów jestem sądzić, że pan rozumie je lepiej niż ja wasze portugalskie książki.

— Portugalska książka nie byłaby moją książką — mruknął niechętnie Gerald. Co zaś do tego liścia, to jest na nim napisane bardzo wyraźnie, że panu grozi wielkie niebezpieczeństwo.

— Mnie? A któż może mnie ostrzec?

— Nie wiem. List podpisany jest węzłem. Czy ten znak nie panu nie mówi.

— Przypomina mi tryumf odniesiony dziś o świtanie. Zabiłem jararakę, który byłby zdusił Indyankę lub sarnę, bo dwóm naraz groził.

— I pan ocaliłeś im życie?

— Prawdopodobnie. Zasługa to mojej fuzyi nie moja, nigdy dotąd nie zdarzył mi się tak trafny strzał.

Gerald patrzył na liść i czytał z niego, jak cyganki zwykły czytać z podanej im dłoni.

— Na rysunku widzę najpród trzy wschodzące słońca, co w języku Indyan znaczy trzy dni. Głowa drapieżnego ptaka ma niezawodnie przedstawiać wodza tutejszego plemienia. Zwą go Sępem, a z tym człowiekiem nie radziłbym żartować. Mści on się na was za wiekowe krzywdy.

— Na nas? ależ moi towarzysze nie zastrzelili dotąd nawet małpy, bo szanują w nich podobieństwo z człowiekiem.

Gerald uśmiechnął się gorzko.

— Mówię o białych twarzach w ogóle, bezwzględnie na to, jakie jest ich pochodzenie. Są one nieszczęściem i przekleństwem Brazylii.

— Czyż i panu uczyniły co złego? — zapytał zmieszany Stefan. Ale pożałował niewczesnych słów, bo mulat rozdrażniony wiadomościami odebranymi od rodziny, zerwał się z hanaku.

— Chcesz wiedzieć, co mnie uczynili — wołał. Zabili mi matkę, wydarli ojca i rodzeństwo, skazali na samoność.

— Kto? dlaczego? pytał przestraszony Stefan.

Gerald nie zwracał uwagi na jego słowa.

— Widzisz pan, czem jest moje życie — mówił — wskazując puste ściany domu. Jaguar ma prawo stworzyć rodzinę i wychować dzieci, ja tylko skazany jestem na wieczną samotność, wzgardzony, odepchnięty za co? za winy, których nie popełniłem, za przesąd, za przywidzenie? Za to, że natura dała mi ciemną twarz, chociaż matka moja była białą i piękną, patrz jak piękną!

Wskazał fotografię potem stanął na chwile, zaczerpnął powietrza w piersi i tak dalej mówił.

— Wy rodzicie się szczęśliwi, boście wszyscy równi sobie, biali jak wasi ojcowie i matki. Czy wiesz pan, co to znaczy być mulatem? Nie wiesz, z kąd masz znać piętno upodlenia, wyrosłe na brazylijskiej ziemi. Kto je przyniósł? Wy z oceanu. Moją ojczyznę zaludniali przed wiekami sami Indianie, i dobrze było, bo nikt nimi nie gardził. Aż przyplłynęli do nas ludzie obdarzeni od Boga piękną, białą twarzą. Tak, piękni jesteście, nie ma co mówić. Piękni a nawet czasem dobrzy, jak dobrą była moja matka, którą ja tak kochałem.

— Umarła, bo nie mogła przeżyć krzywdy dziecka. Uragali mi własni bracia za ciemną twarz, więc umarła. Ja winien jestem tej śmierci, chociaż byłbym oddał ostatnią kroplę krwi, byle utrzymać ją przy życiu.

Gerald zamilkł wyczerpany, a Stefan nie przerywał jego zamyślenia. Znał już historię Brazylii i wiedział, jakich krzywd dopuszczano się tu dla zysku. Wiedział, że Europejczycy założyli w Ameryce plantacje trzciny cukrowej, zwłaszcza zaś kawy. Próbowano zmuszać Indian

do pracy, ale czerwonoskórzy okazali się słabymi i niezdatnymi przy uprawie roli. Postarano się więc o lepszego robotnika. Miał nim być murzyn zamieszkujący Afrykę. Wytrwały na klimat, silny, pracowity odpowiadał istotnie wszystkim wymaganym warunkom. Ale murzyn nie myślał opuszczać ojczyzny. Znalaziono na to sposób.

Handlarze, zwabienni zyskiem, porywali siłą czarnych mieszkańców Afryki i przewozili ich gwałtem za ocean. Robiono na biedaków obławy, chwymano w sidła, jak chwycić się zwykło dzikiego zwierza, i sprzedawano tysiącami na targach. W Lizbonie, stołecznym mieście Portugalii, odbywały się doroczne jarmarki, które ściągały kupców z całego towaru. Handlarze niewolników odbierali dzieci rodzicom, rozłączali męża z żoną, bo sprzedawano murzynów bez żadnej względności dla ich uczuć. Od roku 1503 przewieziono różnemi czasami dziesięć milionów czarnego niewolnika do plantacji amerykańskich.

Dziesięć milionów ofiar! Czy zdajecie sobie sprawę co za straszna cyfra gwałtów, zbrodni, okrucieństw ciąży na sumieniu Europy. Iluż trzeba misjonarzy, ile cnót ile poświęceń, żeby wynagrodzić złe uczynione braciom, żeby zmyć hańbę ciężącą na białych twarzach?

Murzyni prócz pracy, dzięki której wzrosło bogactwo nowych kolonii, dali tym koloniom jeszcze osobną rasę ludzką, naród zowiący się dziś Brazylijczykami. Pierwsi Europejczycy koloniści byli to awanturnicy, szukający szczęścia na drugiej półkuli. Taki człowiek nie przywozi z sobą żony i dzieci, stwarza on dopiero z czasem rodzinę. W braku kobiet białych żenił się wychodźcy z murzynkami i te związki wytworzyły mulatów, to jest rasę ludzi mieszanego pochodzenia. Dziś śmiało twierdzić można, że w obecnym Brazylijczykach płynie najmniej połowa krwi Murzyńskiej. Ta krew dziwne czasem płata figle.

Zdarza się, że przez dwa, a czasem przez trzy pokolenia rodzina brazylijska nie zdradza w niczem Murzyńskiego pochodzenia. Aż nagle dziecko rodziców białych przychodzi na świat prawie czarne, z kręcącymi się jak u Murzyna włosami. Gdyby uczucie sprawiedliwości zwalczyło nareszcie niemądre i niesprawiedliwe przesady, to wypadek taki nie miałby w sobie nic obrażającego godność człowieka. Biały czy czarny, murzyn czy europejczyk, są sobie braćmi, krew Chrystusowa lała się na Golgocie za wszelkiej krwi ludzi. Ale przesąd jest niestety straszną siłą, smokiem niepokonanym, jak mówił słusznie Jakób O'Clear. Wierzajcie mi, warto żyć na świecie na to tylko, aby wojować z tym wrogiem szczęścia ludzkiego.

Biedna czarna dziecina powinna być kochaną i pieszczoną, a spotyka się najczęściej z niechęcią własnej rodziny. Biały farmer czuwa wstyd na widok kędzierzawego syna. Ludzie zapomnieli już o jego pochodzeniu, a tu on sam dał niezaprzeczalny dowód, że między swymi przodkami miał Murzyna. O jakież to brzydkie, nieszlachetne uczucie! Wstydzicie się dziada, który krwią i potem zlewał ziemię? Więcej stokroć wstydziliby się należało przodków krzywdzicieli, tych czystej krwi Portugalczyków, którzy polowali na Murzynów w Afryce i dla zysku hańbili godność człowieczeństwa.

Gerald był ofiarą przesądu. Matka kochała go więcej niż wszystkie inne dzieci, dlatego, że upośledzony najwięcej potrzebował opieki, ale ojciec wstydział się syna i trzymał go zdala od siebie. Dziecko tęskniło do rodziców, a matka życiem przypłacała rozłączenie z biednym mulatem. Odtąd los Geralda stał się jeszcze smutniejszym. Uciekł na step przed szyderstwem ludzi, ale samotność ciążyła mu nieraz okropnie. Dziś właśnie odebrał wiadomość, że brat jego ożenił się z piękną Maryttą, i że buduje własny dom.

— Będzie miał białych synów, będzie szczęśliwy i kochany, ja tylko sam, zawsze sam!

Tak żalił się Gerald na los w chwili, kiedy przyjechał Stefan, biały człowiek, syn rasy uprzywilejowanej. Mulat wierzył, że w Europie nie ma przesądów i niesprawiedliwo-



ści. Że się mylił w swem mniemaniu, tego najlepszym dowodem był jego dzisiejszy gość.

Cóż wypędziło ślusarczyka z ojczyzny? Przesąd.

Cóż jest więc ten tyran, któremu wolno donęczyć ludzi i niewierać ich godność?

Ciemnota, nie tylko ciemnota, brak światła wiary w sercach, światła wiedzy prawdziwej w umysłach.

Trzeba karać ludzi za występki, ale biada tym, którzy karzą niewinnych. Szydziśmy ze Znajdy dlatego, że matka nie tuliła go w kolebce, szydziśmy z mulata, dlatego, że odziedziczył po przodkach czarną skórę.

Ci, którzy tak czynią, mają czarną duszę, a to stokroć gorsze niż ten lub inny kolor twarzy.

Stefan patrzył ze współczuciem na Geralda, bo pamiętał upokorzenia jakie sam znosił w dzieciństwie. Wiedział, że obelga boli, toż przed obelgą Adamka uciekł z warsztatu. Ale Stefan wiedział także, że nie wszyscy ludzie są źli. Znał prawdziwie szlachetnych, którzy gardzili przesądem, gotowi zwalczać smoga, jak zwalczał go wszędzie Jakób. O'Clear mówił mu toż samo, co wprzód mawiał proboszcz, że człowiek kimkolwiek by był, może zasłużyć na cześć i miłość współobywateli.

Stefan chciał to przekonanie wpoić w mulata, opowiedział mu więc dzieje swego dzieciństwa. Zaręczał, że choć jest Znajdą, nie czuje się nieszczęśliwym, bo oddał życie na usługi ciemniejszych od siebie braci.

— Niech tylko Bóg pobłogosławi naszej kolonii w Sixtenlots, niczego więcej nie pragnę — zawołał wzruszony ślusarczyk.

— Nie utrzymacie się w Sixtenlots, ani wy, ani ktokolwiek z białych osiąść tam zamierzy — powiedział Gerald, którego twarz łagodniała pod wpływem słów Stefana

Nie utrzymamy się, coż więc pozostaje nam czynić? zawołał z żalem ślusarz.

(d. c. n.)

### Wróbel i wiewiórka.

Bajka przez L. Żegotę.

Śmiał się wróbel, gdy widział na drzewie wiewiórkę, Jak zbierała orzechy w ukrytą komórkę.

— Po co — mówił do siebie — tak chciwą jest ona, Że wśród lata się trzodzi i zbiera nasiona?

Było lato, minęło. Nadeszła wnet zima:

Nigdzie ziarn ni owoców, ni nasion już niema...

Wiewiórka ma zapasy, uzbierane w lecie,

Wróbel przymiera głodem, nie trzodził się przecie!...

### Z OSOBLIWOŚCI ZAMORSKICH.

1) Cztery świątynie w pniu jednego drzewa. 2) Łodzie ze skór zwierzęcych.

Dajemy dziś dwie ryciny, które z pewnością zaciekawia naszych czytelników. Pierwsza z nich przedstawia osobliwość, którą nawet w Chinach, jej ojczyźnie, uważają za rzecz godną uwagi. Widzimy na niej pień olbrzymiego drzewa, mieszczącego w sobie aż cztery małe pagody. Wewnątrz pnia wyróżniło kręte schodki, po których można się dostać aż na sam szczyt najwyższej świątyni. Druga rycina przedstawia przeprawę przez rzekę w Indyach, u podnóża gór Himalajskich. Krajowcy nie uważają wszelako tego sposobu przeprawy przez rzeki za rzecz nadzwyczajną, chociaż my, gdybyśmy zobaczyli podobne łodzie na Wiśle, prawdopodobnie uśmielibyśmy się porządnie. A jednak

sposób ten jest bardzo praktyczny. Każdy z krajowców, udających się w dalszą podróż, zabiera z sobą odpowiednio wyrobioną skórę bawołu, wołu, lub barana, wydetą powietrzem. Skóra nie jest zbyt ciężka do niesienia, a gdy się zdarzy po drodze rzeka, rzucają skórę do wody, siadają na nią i płyną, jakby łódką.

### LOGOGRYF KROPKOWANY.

Nadesiał \* \* z Warszawy.

Bi—bi—bum—czor—d rór—flis—hał—hra—jaw—ka—ko  
le—ma—mo—na—na—ni—nius—mo—nu—ny— pieśń — sław  
sta—strasz—ta—ver—wid—wie.

\* \* \* \* \*

.....\*  
.....\*  
.....\*  
.....\*  
.....\*  
.....\*

Z podanych sylab złożyć 8 tytułów utworów muzycznych, jednego ze sławnych kompozytorów naszych Litery tych wyrazów rozstawić w rzędach poziomych kropek na podanej figurze tak, aby wiersz pierwszy poziomy, oraz pionowy, oznaczone gwiazdkami, utworzyły:

1-szy poziomy — imię i nazwisko, pionowy zaś — nazwisko kompozytora złożonych tytułów utworów muzycznych.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 24-go

Szarady: Na — gro — dy.

Zagadki: Ż o ł ą d e k .

### Nasze konkursu II-go półrocza.

Nadeszły wakacje! Przyjemna to pora, korzystajcie z nich kochani czytelnicy i czytelniczki „Wieczorów;” używając jak najwięcej ruchu na świeżem powietrzu, rozwijając płuca i mięśnie, zbierajcie siły na następny rok szkolny. Ale zdarza się przecie, że deszcz pada czasem, albo że upał zbyt wielki, że zresztą przyjdzie ochota posiedzieć, poczytać, pomyśleć i popracować; tak z własnej woli bez przymusu ani z obowiązku, ale zawsze z pożytkiem dla siebie i drugich. Z tą myślą ogłaszamy dla was dwa konkursy z nagrodami.

1. Konkurs na wypracowania — trzy tematy do wyboru dla wszystkich czytelników i czytelniczek „Wieczorów.”

1) Jaki ze znanych mi wynalazków uważam za najdonioślejszy i najpożyteczniejszy i dla czego?

2) Napisz historję jakiego kwiatu w dowolny sposób. Np. wyobraź sobie, że jesteś bławatką i przechodzisz różne koleje przed i po zerwaniu i t. p. (można z rysunkami lub ozdobami)

3) Napisz powiastkę na tle umieszczonej na ostatniej stronie ryciny.

Przy ocenianiu prac konkursowych będziemy mieli na względzie nie tylko treść, lecz zarówno styl i poprawność języka oraz rysunki i ozdoby. Nie mamy nic przeciw zasięgnięciu rad przy obmyśleniu wypracowań, ale prosimy, aby były pisane bez pomocy i poprawek starszych, przytem wyraźnie i porządnie na jednej stronie kartki.

Termin nadsyłania wypracowań 1-y września r. b.





## II. konkurs na roboty ręczne.

„Panienki, panienki, znów do was wezwanie,  
Niech zabrmi rozgłoszenie, jak echo po łące,  
Niech igły i nici wprowadzi w ruch skory,  
Gdzie tylko dziewczeczki czytają „Wieczory”.

Jak zwykle, w tym konkursie nie idzie nam o jakieś wyszukane roboty z drogich materiałów, lecz o proste i zwyczajne, które nie powinny być obce żadnej kobiecie, byle starannie i z pewną umiejętnością wykonane. Ze względu zaś, że przysłane rzeczy będą przed świętami Bożego Narodzenia rozdane ubogiej dziatwie, ochronkom i zakładom dobroczynnym, a więc zastosowane do ich potrzeb, ogłaszamy konkurs na trzy rodzaje robót.

1) **Bieliznę dziecienną**, 2) **Sukienki i ubranka**.

3) **Roboty włóczkowe** (kaftaniki, spódniczki i t. p.) Nadto biegłejsze i wprawnejsze panienki mogą przysłać na konkurs próby swej umiejętności w wykonywaniu trudniejszych i zbytckowniejszych robót, jako to **haftów, korenek, wyszywania oraz rysunków**.

Tylko przy skrajaniu pomoc starszych jest dozwolona.

**Termin nadsyłania robót** — 1 października r. b.

**Warunki dotyczące obu konkursów.** Za najlepsze wypracowania i roboty ręczne redakcja udzieli pewną ilość **nagród** przeważnie w nowszych powieściach dla młodzieży.

Przy każdym wypracowaniu należy podać imię, nazwisko, wiek (rok 10-y; 11-y; i t. p.), adres, i te same wiado-

**Przypominamy o wczesnem ODNOWIENIU PRENUMERATY na półroczu 2-gie dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.**

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5—stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.  
Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

**TREŚĆ:** W chacie góralskiej, wiersz p. Maryę Łopuszańska (z ryc.) — Pogadanki z dziedziny chemii p. Wł. Umińskiego. — W Suchowskim dworze, przez Zofię Kowerską. — Autor Sobótki, przez W. Morzkowską (z portretem). — Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką. — Wróbel i wiewiórka, bajka przez L. Żegotę. — Z osobliwości zamorskich: Cztery świątynie w pniu jednego drzewa, Łódzie ze skór zwierzęcych (ryc.) — Łamigłówki i rozwiązania. — Nasze konkursy II półroczu. — Dodatek: Grymaśnicy, wiersz przez Helenę Bojarską (z ryc.) — Przygody Wojtaszka, przez Julię Piasecką. — Co znalazłem w błotach i kałużach, przez Maryę Weryho. — W Krainie wiecznego wesela, baśń przed. w teatrze maryonetek. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Na zamku Nasielskim, opowiadanie z pierwszej połowy XVIII w., przez Annę Zielińską.

mości wypisać na kartkach i przyszyć je do każdej sztuki przysyłanej roboty, kto w sprawozdaniu nie chce być ogłoszony z nazwiska, niech doda pseudonym

Na kopertach z wypracowaniami trzeba notować z boku: **wypracowanie** i do tych kopert żadnych listów z zapytaniem czy zapytowaniami nie dołączać, gdyż będą otwarte dopiero po 1-y wrzesnia. Listy niedostatecznie frankowane przyjmowane nie będą.

Z powodu trudności przy odbieraniu posyłek zagranicznych, prosimy czytelniczki nasze, aby roboty ręczne przysyłały tylko przez okazyę; wypracowania mogą być wysyłane pocztą.

Adres. Warszawa. Mazowiecka 10, „Wieczory Rodzinne.”

### Od Redakcyi.

W III-im kwartale oprócz dalszego ciągu drukujących się obecnie powieści, rozpoczniemy nader ciekawą powieść fantastyczno-naukową z ilustracyami.

**Pierwsi ludzie na księżycu** H. G. Wells'a

Mamy w tece „Dalsze losy paniczyka” Z. Morawskiej i kilka krótszych opowiadań treści rozmaitej.

W IV-yim kwartale rozesłemy wszystkim prenumeratorom powieść p. t. „Chudziak,” jako **premium bezpłatne** na rok 1902:

### OGŁOSZENIA.

## Zakład naukowy 8-io klasowy żeński Heleny Kaplińskiej

dawniej Ł. Żeleszkiewicz  
w Krakowie, ulica Gołębia Nr. 5.  
przyjmuje uczennice stałe i przychodnie na dotychczasowych warunkach.

Zapis na rok szkolny 1902/3 codziennie.  
Kurs przygotowawczy do studiów uniwersyteckich. 3—1

### NOWY WYNALEZEK.

Patentowane amerykańskie maszyny do pisania  
dla dzieci w cenie

rub. 2 i rub. 3 za sztukę.

Sprzedaż u H. Łaski & C<sup>o</sup> w Warszawie

**HOŻA 46.**



## Grymasnicy.



— Hej! Trezorze, mości panie,  
Masz tu chlebek na śniadanie,  
Nie chcesz? no, no, cóż to znaczy,  
Że pies chleba jeść nie raczy?  
Zrozumiałem oto tyle,  
Że na mięso patrzysz mile.  
I kiełbasę jadłbyś może...  
Lecz za drogie to, Trezorze!

Ciężkie czasy, ciężkie czasy!

To nie pora na grymasy.

Co nam dadzą, jeść należy. —

— Bardzo pięknie mówisz, Jerzy,

Rzecz mama do chłopczyny,

— Ale i ty, mój jedyny,

Nie grymasz też, bo twa mowa

Za fałsz jakiś ujść gotowa;

Kto to wczoraj przy obiedzie

Mówił: „Fe szkaradne śledzie!

Fe! niedobre te pierogi!

Czy pamiętasz synku drogi?

Kto niegrzeczne robił miny,

Że nie było leguminy?...

Czy grymasić tak należy,

Czy to ładnie, powiedz Jerzy! —

Odczuł chłopczyk tę wymówkę,

Zawstydził się, schylił główkę,

I rzekł cicho, jakby łzawie:

— Ja, mamusiu, się poprawię.

Przyrzekł Jerzyk, przyrzekł szczerze!

A zaś Trezor, zmyślne zwierzę,

Wnet po przemówieniu takim

Podniósł chleb i zjadł ze smakiem,

I okrucichów nawet szuka...

Ha! nie poszła w las nauka.

Helena Bujarska.

Julia Piasecka.

## Przygody Wojtaszka.

(Dalszy ciąg)

Mała, jasnowłosa, rumiana jak jabłuszko dziewczynka była bardzo piękna i kształtna, Czardaj chciał ją wyuczyć wszystkich sztuk, jakie umiała Balbi Tin. Jej tłu-

ste, okrągłe rączki i nóżki, możnaby wygiąć na różne strony, ale gdy ją na chwilę wyrwał z objęć Miry, swej córki, teraz jedynej jej opiekunki i niańki, dziecko tak rozdzierającym głosem wzywało jej pomocy i opieki, że Mira padła do nóg ojcu i zebrała o litość dla dziecka.

— Ojczy, proszę cię, puść małą, nie bij jej, nie męcz, to takie miłe, śliczne stworzenie, szkoda jej, szkoda!

Brwi Czardaja ściągnęły się.

— Precz z prośbą i łzami! Ona musi nam zastąpić Balbi Tin, rozumiesz? Ja tak chcę! Dla twej fantazyi nie poświęcę sławy mej trupy!

W czarnych, cygańskich oczach Miry świeciły wtedy łzy, podnosiła je w górę, jakby tam w niebie wypraszała łaskę, a składając jak do modlitwy swe drobne, ręce, szeptała:

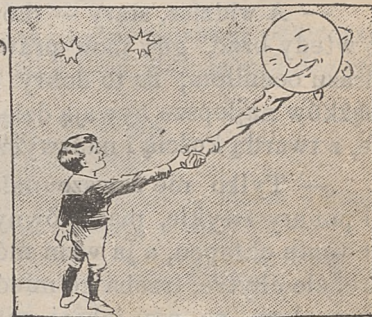
— Maleńka, maleńka, o jak mi żal ciebie, jak żal, jak żal!

Czardaj nie miał miękkiego serca swej córki Miry, nie wzruszał go ani płacz ani prośba, ani ból! Bezskuteczne były błagania dziewczyny — z pod jej troskliwej opieki przechodziło maleństwo w srogie ręce Czardaja. Przyuczano je do różnych skoków i tańców, a gdy biedactwo wystraszone srogiem obejściem, wzywało płaczącym głosem opiekunki, Mira zasłaniała oczy i uszy, by nie widzieć i nie słyszeć, a częściej wpadała do sali, chwytając dziecko, i mimo krzyku ojca, a nawet uderzeń, uciekała z niem, tuląc, pieszcząc i całując. W głowie dziewczyny powstawały myśli ucieczki, ocalenia małej.

Wojtaszek bywał świadkiem takich scen, polubił tę dziewczynę o śniadej cerze i czarnych, dobrych oczach. Lubił przede wszystkim jej melodyjny głos, gdy przemawiała do dzieci, jej pieszczoty, jakich nie szczydziła ani zwierzętom, ani nawet jemu, gdy kładąc rękę na głowie, mówiła:

— Zmęczyłeś się, prawda? bardzo ciężko u nas; wszystkim źle, bardzo źle! I mnie ciężko i straszno!

Patrzała wtedy przed siebie, jakby wzrokiem przebiec chciała te skaliste góry, które się piętrzyły w okolo i odgradzały ją od tego kraju płaskiego i zielonego, z którego niedawno wywieźli Tارا i małą, różową Nelli!



— Dobry wieczór, panie księżycu!

I Wojtaszek poma — Dzień dobry, mój młody ziemianinie!



u ośmielił się do dziewczyny, pociągnięty słodyczą i dobrocią jej charakteru. Lubił z nią rozmawiać, a choć nie-az szło mu trudno w wypowiedzeniu swych myśli, po-agał sobie znakami, a ona mu słowa poddawała.

— Powiedz mi, Miro, czy my tu zostaniemy na-awsze?

Potrząsnęła głową.

— Nie, jak tylko lody w górach puszcza i stopnieją, i droga się osuszy, pociągniemy dalej, w głąb kraju.

— A gdzież będziemy mieszkali, w mieście, czy na wsi?

— Nigdzie stale, a wszędzie potrochu. Objędzamy większe i mniejsze miasta na Węgrzech, później zawa-łzamy o kraje sąsiednie, a jeśli nas zima zaskoczy daleko od tej budy, stawiamy podobną i spędzamy w niej zimę.

Wojtaszek niezupełnie rozumiał, co mówiła Mira, że gdy objadą cały kraj, to wyruszą do drugiego. — Co to jest kraj, i czy tych krajów jest dużo?

Wszystko go zaciekawiało, a że względnie było mu nieźle, wyczekiwał chwili wyjazdu, nietyłe, by budzącą się za swoją wioską tęsknotę zagłuszyć, ile z ciekawości, jak też tam będzie w tych innych krajach, czy przypadkiem nie zawadzą o Brzezinki i sąsiednie miasteczko Koło?

Wtedy, dopiero byłaby uciecha! Poznałby zaraz nietylko ojcowską chatę, stare lipy z gniazdem bocianiem na wierzchołku, ale i dwór dziedzica i wieżyczkę kościoła!

Tak myśląc, uśmiechał się.

— Możeby zapytać o to Mirę?

Ale ona, choć taka dobra, jest córką Czardaja, którego jak ojca kocha! Może zdradzić, oskarżyć, powie, że mu się coś marzy o powrocie, o ucieczce, i wtedy umyślnie w inną stronę pociągną! Nie, nie, lepiej myśleć i czekać.

Układał sobie chłopczyna różne piękne plany, bo nie wiedział, że gdy Mira mówiła, iż wyruszą na wiosnę w głąb kraju węgierskiego, to co godzina, co dzień, będzie dalej i dalej od Brzezinek, od wieżyczki kościelnej, którą tak kochał i od panicza, który obiecał uczyć pisan-ia na pięknym, białym papierze!

Ułudna nadzieja prędkiego powrotu do domu miała tę dobrą stronę, że dodatnio wpływała na usposobienie Wojtaszka.

Nie martwił się, nie płakał, chętnie i wytrwale pra-cował, sprytny i zwinny, najzupełniej odpowiadał obo-wiązkom, do których był przeznaczony. Czardaj był z niego zadowolony.

— A widzisz, stary — mówił Hagiel — nie chciałeś go wtedy brać, gdy nam prawie sam wlaź w ręce, a ja odrazu oceniłem, że to dobry materyał. Do takich obo-wiązków najlepsze bywają dzieci wiejskie; silne to i zdro-we, z twardą kością i nadzwyczaj wytrzymałe.

— Tylko nie zawsze należy im dowierzać — wtrą-cił ponury zwykle, małowówny Kulim. — Zabardzo ufa-cie temu chłopcu, a ja wam mówię, że spojrzenie ma by-stre, ale chytne, trzeba go mieć na oku. Ciągłe go badam i poznałem, że ma jakieś zamiary, nie napróżno oczy mu się nieraz śmieją!

(d. c. n.)

Marya Weryho.

## Co znalazłem w błotach i kałużach?

### 11. Nartnik.

**S**zukam grzbietopławka i nigdzie nie znajduję, a wyczytałem, że przebywa najczęściej w rowach. No, ale za to odnalazłem stworzenie, które wziąłem za pają-ka, a okazało się, że to był nartnik.

Od paru dni padał deszcz i skutkiem tego potwo-rzyły się kałuże stojącej wody. Zajrzałem do jednej ta-kiej kałuży, patrzę, jakiś owad sunie dużemi krokami, jak łyżwiarz po lodzie. Złapałem takiego jegomościa i przyjrzałem mu się bliżej: dwie tylne nogi bardzo długie, z przodu szczecinki, spód ciała gęsto okryty włoskami, i jak się później od ojca dowiedziałem dzięki tym włoskom, jak również temu, że jest dość tłusty, nartnik mo-że chodzić z łatwością po powierzchni wody.

A przebywa najczęściej w kałużach, tam gdzie nie-ma ryb, bo się ich okrutnie boi.

Widocznie nartniki są towarzyskie, gdyż niedługo zobaczyłem drugiego i trzeciego nartnika w tem samym miejscu.

A cóż to za zręczne stworzenie! Miałem możność przyjrzeć się ich sztukom ekwilibrystycznym.

Nad wodą przelatywała jakaś muszka, nartnik zer-wał się i całym ciałem ją przygniótł.



Mucha spadła do wody, a zamoczywszy skrzydełka, walczyć nie mogła i musiała się poddać.

Wtedy uderzyłem kijem po wodzie, chcąc się przekon-ać, jak zachowa się owad w niebezpieczeństwie.

Nartnik szybko dobiegł do liścia, rosnącego na brzegu, wszedł na niego i ukrył się w gąszczu.

— No, myślę w duchu, umiesz sobie radzić.

## W KRAINIE WIECZNEGO WESELA.

Baśń przedstawiana w teatrze marionetek w Warszawie.

### OSOBY:

**Jagusia**, jej dziadek (*leśniczy*), **Echo** leśne, **Rusałki**, **Karzelki**, **Najstarszy karzeł**.

(Scena przedstawia chatę ubogą, pochyloną, z zapadłym da-chem, zdala widać pole ozłoczone dojrzewającym żytem, z drugiej strony leśna gęstwina. Przez otwarte okno widać wnętrze cha-ty: uboga, czysto umieciona izba, stół i ława, w głębi komin. Pod oknem siedzi 12-o letnia Jagusia i przędzie na kołourotku).

### SCENA I-a.

**Jagusia (sama)**. O, jak to smutno wciąż samej i sa-mej! Ani ja światła znam, ani wesołości żadnej. Dzia-



duś wciąż w lesie, a ja samotna, całymi dniami. Oj, smutna dola! Chyba sobie zaśpiewam.

*(Śpiewa żałośnie i tęskno).*

Oj słonko, słonko, ty znasz ziemię całą  
I świat szeroki,  
A ja znam tylko tę chateczkę małą,  
I bór głęboki!  
Ty widzisz pewnie, jasne słoneczko,  
Szczęśliwe dzieci,  
Jaśniej i piękniej nad ich chateczką,  
Promień twój świeci.  
Gdybym ja kiedy, leśnej ptaszyny  
Skrzydółka miała,  
Tobym się zaraz z leśnej gęstwiny  
Na świat wyrwała!

*(Przy końcu trzeciej zwrotki wychyla się z lasu postać staruszka z siwą brodą, strzelba przewieszona przez plecy. Zbliża się do wnuczki, która rzuca wrzeczono i pośpiecha ku niemu).*

### SCENA II-ga.

Jagusia — Dziadek.

**Jagusia.** Jesteś dziadusi, nakoniec!

**Dziadek.** Jestem. A śpiewasz ptaszku, aż się echo w lesie rozlega! Lecz coś smutno nucisz?

**Jagusia** *(spuszcza oczy).* Bo nudno i tęskno samej.

**Dziadek.** I na chatkę naszą narzekasz i na dolę swoją, w świat się wyrwasz. Porzuciłabyś dziadka?

**Jagusia** *(zmieszana).* Ach, dziaduniu, gdy ciebie niema, to i myśli złe przychodzą. Ot, dumam: są ludzie bogaci, są dzieci szczęśliwe, mają domy piękne, szaty kosztowne i cacka rozmaite, przepiękne, toby się chciało choć ujrzeć.

**Dziadek.** I bogaci mają troski swoje. A tobie nudno ze starym?

**Jagusia.** O nie mów tak, dziaduniu! Z tobą mi dobrze, ale bez ciebie smutno — a ciebie prawie nigdy chatka nie ogląda. Las — twoje mieszkanie!

*(Siedzą chwilę w milczeniu: ściemnia się. Jagusia bierze strzelbę dziadka i powstaje).*

**Jagusia.** Czas o wieczerzy pomyśleć.

**Dziadek.** To idź. Ja tu pozostanę, wypocznę przed chatą; las już zasypia, piosnkę mu na dobranoc zanucę.

*(Jagusia znika we drzwiach chaty; w oknie, po chwili błyska światelko i widać krzątającą się wewnątrz Jagusię).*

### SCENA III-cia.

Dziadek *(sam).*

*(Siedzi w milczeniu na ławie, po chwili bierze zwieszony na taśmie róg i trąbi. Echo mu dwukrotnie odpowiada, wkrótce staje przed dziadkiem wesole, ruchliwe i swawolne chłopię — to echo leśne; stojąc wciąż podskakuje).*

### SCENA IV ta.

Dziadek — Echo leśne,

**Echo.** Śpieszyłem, śpieszyłem na odgłos twego rogu. Mów prędko, staruszk, bo czasu nie mam. Co każesz?  
*(Zdała słysząc wołanie: hop, hop!)*

**Echo** *(odpowiadając).* Hop, hop! *(Do dziadka).* Słyszysz? Wciąż mam taką robotę! Mów — bo uciekam!

**Dziadek.** Idź, powiedz Rusałkom, że jutro z rana, nim słońce rośnię wypije, Jagusia moja w boru jagody zbierać będzie. Niech ją do siebie, do kraju wiecznego wesela, zabiorą — wesołością i zbytkiem otoczą — niech jej dadzą, co mają najpiękniejszego!

**Echo** *(tym samym tonem).* Co mają najpiękniejszego!

**Dziadek.** Pamiętaj, jutro z rana.

**Echo** *(jak wyżej).* Jutro z rana! Już śpieszę! *(znika).*

### SCENA V-ta.

Dziadek sam.

**Dziadek.** Sam pozostanę! Ale za to ona, dziecina moja, pozna radość, swobodę, dostatek, wesele!

*(Jagusia ukazuje się w progu chaty, podchodzi do dziadka i otacza go ramieniem).*

### SCENA VI-ta.

Ddziadek. — Jagusia.

**Jagusia.** Wieczerza, dziadusi!

**Dziadek.** Idę, dziewczeczko! A ty jutro z rana, dzban węz największy, w bór pójdź, do dwora jagód potrzeba.

*(Rozmawiając postępują do chaty).*

**Jagusia.** O! to mi uciecha! Pobiegnę, ty wiesz jak Jagusia jagód szuka, same jej do rąk idą.

*(Znikają na progu chaty. Scenę zalega mrok; wewnątrz chaty oświetlone. Po chwili ścieżką od lasu wiodącą, zbliża się Echo, prowadząc za rękę Rusałkę. Skradają się cicho i podchodzą pod samo okienko).*

### SCENA VII-ma.

Echo. — Rusałka.

**Echo** *(przyciszonym głosem).* Jutro z rana, nim słońce rośnię wypije, Jagusia *(wskazuje na siedzącą w izbie dziewczynę)* w boru jagody zbierać będzie. Macie ją do siebie zabrać Rusałki, do krainy wiecznego wesela, wesołością i zbytkiem otoczyć, dać jej co macie najpiękniejszego.

**Rusałka I.** *(zaglądając z ciekawością).* Temu dziecku?

**Echo.** Temu dziecku.

**Rusałka.** Ładna z niej będzie rusałka.

**Echo.** Ładna z niej będzie rusałka.

**Rusałka.** Trochę smutna, ale u nas się rozbawi, roztańczy!

**Echo.** Rozbawi się, roztańczy...

**Rusałka.** Echo, ty jesteś nieznośne! Nie umiesz widać sam nic mądrego powiedzieć, skoro zawsze tylko po drugich powtarzasz.

**Echo** *(przekornie).* Czasem mówię rozmaite mądrości, ale nie z płochemi rusałkami.

**Rusałka.** O! sam taki jesteś poważny, stateczny!  
*(Drzwi od chatki otwierają się z cicha, staje w nich Jagusia).*

### SCENA VIII-ma.

Jagusia sama.

*(Rusałka, pociągnięta przez Echo, kryje się razem z nim za chatą, poczem uciekają w las).*

**Jagusia.** Coś mi się śnać przywidziało. Któżby tu zajrzał, jeszcze po nocy! *(Cofa się).*

Zasłona spada.

*(d. c. n.)  
M. Lipska.*



## ZAGADKA.

przez Prymusa.

Co to za ptak stepowy,  
Gdy jest we wsi — to bez głowy.

## ŁAMIGŁÓWKA KRYSZTAŁOWA.

Od siostrzyczek z Z. dla dzieci z Sachnowki.

- 1) Samogłoska.
- 2) Wykrzyknik.
- 3) Góry w Europie.
- 4) Przydomek króla polskiego.
- 5) . . . . .
- 6) Imię słów.
- 7) Roślina strączkowa.
- 8) Spółgłoska.

Rząd środkowy i środkowe litery utworzyć mają nazwę stolicy w Europie.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 24.

Zagadki: S t ó ł.

## Łamigłówniki w trójkącie:

O l k u s z  
L a m p a  
K o ł o  
U l e  
S a  
Z

## Skrzynka do listów.



## Skrzynka do listów.

Dobre rozwiązania zadań, jako też zadania własnego układu nadesłali: Janinka z Łasku, Zorza Poranna, W. Mierz. Aniela Kuszłówna, Żuk, Gwiazda, Suya, Zdziś, Nadobrzanka, Antek z Piotrkowa.

Podziękowanie twoje za nagrodę, **Niezabudko z nad Bugu**, nie mnie się należy, lecz sędziom w redakcyi, a właściwie i tobie samej za staranne na twój wiek pisanie. Niech ci ta otrzymana nagroda będzie zachętą do dalszej pracy. I mnie się bardzo podobało „W krainie czarów.”

Czy **Żuczek ze Lwowa** nie napisze do mnie kiedy?

Masz rację **Ponury Sępie**, prawość jest najważniejszą cnotą charakteru: wiele wad można jeszcze czasem wybaczyć, ale fałszu i kłamstwa nigdy, bo z nich najwięcej zła wypływa.

Witam cię **Lutnisto**, jako przyszłego poeę, skoro zapowia-

dasz, że nim być musisz. Pamiętaj jednak, że jak ziarnka do ziemi rzucone długo w niej leżeć muszą, aż wszędzie roślina, tak i zdolność każda w człowieku wymaga wiele starań i pracy bez rozgłosu. Póki dojrzysz i dostatecznie się wykształcisz, tymczasem weź udział w konkursie na wypracowania i pisuj często o swoich planach.

Dlaczego **Nadobrzanko** wątpiłaś o gotowości mojej zawiązania z tobą korespondencyi? Wszakże przekonać się mogłaś, z jaką radością witam każdego zwracającego się do mnie korespondenta, z jakim odczytuję zadowoleniem wszystkie listy wasze szczegóły z życia, wrażenia, myśli. Opis waszego domu nad Obrą podobał mi się, bardzo ładny być musi ten stary dwór otoczony lipami, duży ogród ze stawem, po za którym wznosi się figura Matki Boskiej, ale nadewszystko podoba mi się żyjąca w tym domu gromadka czytelników „Wieczorów” Jakże ci idą lekcye łaciny? Pismo nasze rozsyłamy w czwartki i piątki.

Widzisz **Antosiu z nad Warty**, że najtrudniejszy tylko początek, raz przekonawszy się, iż łatwo rozmawiać listownie z Jaskółką, napisałeś do mnie sam w nieobecności mamy na ładnej karcie ilustrowanej, a mam nadzieję, że niebawem obdarzysz mnie znowu dłuższym listem.

**Wielkopolance, Słowikowi i Matej Figlarce**, za pozdrowienia — pozdrowienie. Gospodarz na karcie przepyszny!

Rozumiem **Biała Wisienko** żal wasz po oswojonym borsuku, skoro jednak tak bardzo lubicie zwierzęta, znajdziecie wkrótce inne jakie łatwiejsze do hodowania stworzenie. Prawda, że pomnik Chopin'a w Żelazowej-Woli jest skromny, trzeba jednak pamiętać, że wzniesli go ludzie dobrej woli małemi środkami właściwie, dla upamiętnienia miejsca urodzenia wielkiego artysty, teraz podjęto myśl postawienia mu okazałego pomnika w Warszawie.

Dobrze odczuwasz i opisujesz **Polna Różyczko z L.** powaby wiosny; istotnie ta najpiękniejsza pora roku jest jakby obrazem młodocianych lat: życie uśmiecha się jasno, a w główki i serca zasiewają ziarnka mądrości i cnoty. Jak sieje rolnik zboże w polu. Używasz też w pełni przyjemności wiejskich, skoro pływasz łodzią, robisz dalsze wycieczki i pracujesz w swoim ogródku. Do konkursu stawaj koniecznie.

Wśród moich korespondentów **Antku z S.** jest większość młodszych od ciebie, ale bardzo wielu w tym samym wieku a nawet starszych, będących w VII i VIII klasie.” Ofiary na kościół Zbawiciela w Warszawie redakcyja przyjmuje, drobne ofiary możesz przesłać markami pocztowemi.

**Baniuta** zapytuje **Prządę** złotych nici, czy zechce zamieniać z nią karty ilustrowane, a **Kasztelanka** pyta o to samo **Łochozwiankę**. W razie zgody poślę wam ich adresy na kartkach. I ja dawniej lubiłam kroięta, ale teraz wolę grę lawn-tennis'a, bo więcej przy niej ruchu. Dobra też gra na deszczowe dni to ping-pong, tylko wymaga dużego stołu. Ciekawa jestem prób rysunków twoich, **Kasztelanko**, natuszuj co przy konkursie na wypracowanie.

Styl ostatniego twego listu, **Łochozwianko** zdradza, powagę osoby, zastępującej już mamę w gospodarstwie, co jednak nie przeszkadza ci pisać do mnie, za co ci jestem wdzięczną. Za 2, 3 tygodnie wyjadę i chciałabym nad waszemi lasami przelecieć. Zdaże mi się, że twoje pismo trochę do mojego podobne, więc masz pewnie te zalety, które mnie przypisujesz.

Wasza **Jaskółka**.

## Gry i zabawy ogrodowe

kroięty, sero, kregle, wolanty, łuki, latawce „Orzeł” i in.  
Al. Wiśniakowski i L. Gołembiewski

Krakowskie-Przedmieście Nr. 6 wprost Św. Krzyża  
tamże **Zabawki** pouczające, urozmaicone i oryginalne,  
oraz **Zajęcia**, kształcące umysły młodociane, a zarazem  
ciekawe.

26 i 28